

NICHOLAS SPARKS SZCZĘŚCIARZ



ALBATROS

1

Clayton i Thibault

Zastępca szeryfa Keith Clayton nie słyszał, kiedy się zbliżali, a z bliska nie spodobali mu się jeszcze bardziej niż z daleka. Po części z powodu psa. Nie lubił owczarków niemieckich, a ten, mimo że stał spokojnie, przypominał mu Panterę, psa policyjnego, który towarzyszył zastępcy szeryfa Kenny'emu Moore'owi i który na najmniejszą komendę rzucał się do krocza podejrzanego. Ogólnie rzecz biorąc, Clayton uważał Moore'a za idiotę, ale w gruncie rzeczy nie miał w policji bliższego przyjaciela. Musiał też przyznać, że Moore opowiadał te swoje historie o wygryzionych przez Panterę kroczech w taki sposób, że Clayton dosłownie zwijał się ze śmiechu. Moore z pewnością doceniłby jego opowieść o tym, jak spłoszył dwie studentki opalające się nad potokiem w całym porannym blasku swojej nagości. Był tam jedynie kilka minut i zdążył zrobić aparatem cyfrowym zaledwie parę zdjęć, kiedy zobaczył trzecią dziewczynę wyłaniającą się zza krzewu hortensji. Szybko rzucił aparat w krzaki za sobą, wyszedł zza drzewa i chwilę później stanął twarzą w twarz z nieznajomą.

– I cóż my tu widzimy? – zapytał, starając się zbić ją z pantafyku.

Nie był zadowolony z tego, że został przyłapany na gorącym uczynku, tak samo, jak nie był zadowolony ze swojej banalnej odzyski. Zwykle szło mu lepiej. Znacznie lepiej. Na szczęście dziewczyna była zbyt speszona, żeby cokolwiek zauważyć, i cofając się, o mało nie upadła. Wyjąkała coś w odpowiedzi, próbując zasłonić się rękami. Wyglądało to tak, jakby sama ze sobą grała w twistera*.

Clayton nawet nie próbował się odwrócić. Zamiast tego uśmiechnął się, udając, że nie widzi jej nagości, jakby spotkanie gołych kobiet w lesie stanowiło dla niego chleb powszedni. Nie miał wątpliwości, że nie widziała aparatu.

– Spokojnie, nie denerwuj się. Co tu się dzieje? – zapytał.

Doskonale wiedział, co się dzieje. Zdarzało się to po kilka razy każdego lata, ale szczególnie w sierpniu: dziewczęta z Chapel Hill albo North Carolina State w długi weekend „ostatniej szansy”, przed rozpoczęciem jesiennego semestru, ciągnęły na plażę na Emerald Island. Często korzystały przy tym ze starej drogi, którą zwożono bale drzewa, wijącej się wyboiszcami na przestrzeni jakichś dwóch kilometrów przez las państwowy aż do miejsca, gdzie Swan Creek ostro skręcał ku South River. Znajdowała się tam kamienista plaża, która była prawdziwą mekką dla amatorów opalania się nago. Jak do tego doszło, Clayton nie wiedział, w każdym razie starał się zaglądać tam jak najczęściej w nadziei, że a nuż dopisze mu szczęście. Dwa tygodnie temu natknął się na sześć ślicznotek; dziś były trzy, z czego dwie, które leżały na ręczniku, sięgały już właśnie po T-shirtki. I chociaż jedna z nich wydawała się nieco ciężkawa, to przecież pozostałe – ze stojącą przed nim brunetką włącznie – miały figurki, za którymi przepadała studencka brać. A i szeryfowie też.

* Gra zęchnościowa polegająca na tym, że należy utrzymać równowagę, stając na rękach i stopach na coraz to innych polach specjalnie do tego przystosowanej maty.

– Nie wiedziałyśmy, że kogokolwiek tutaj spotkamy! Myślałyśmy, że wszystko będzie okay!

Buzia dziewczyny wydała mu się dostatecznie niewinna, żeby pomyśleć: Czy jej tata nie byłby dumny, gdyby wiedział, na co stać jego małą córeczkę? Z rozbawieniem wyobraził sobie, jak by na to zareagowała, ale ponieważ był w mundurze, wiedział, że musi zachowywać się oficjalnie. Poza tym zdawał sobie sprawę, że kusi los. Gdyby rozniosło się, że biuro szeryfa patroluje te tereny, to już nigdy więcej nie byłoby tu żadnych dziewczyn, a czegoś takiego Clayton w ogóle nie brał pod uwagę.

– Chodźmy, porozmawiamy z twoimi koleżankami.

Ruszył za dziewczyną w kierunku plaży, przyglądając się, jak próbuje zakryć sobie pupę, i napawając się tym małym spektaklem. Do czasu kiedy wyszli spośród drzew i znaleźli się na otwartej przestrzeni nad rzeką, przyjaciółki jego ofiary zdążyły już naciągnąć koszulki. Brunetka puściła się biegiem w ich stronę i szarpnęła za ręcznik, przewracając puszki piwa. Clayton wskazał w stronę pobliskiego drzewa.

– Nie widzieliście znaku?

Jak na komendę dziewczyny spojrzały za jego ręką. Ludzie to stado baranów, które tylko czekają na jakiś rozkaz, pomyślał. Znak, mały i częściowo zasłonięty przez nisko opadające gałęzie sędziwego dębu, został tu umieszczony na polecenie sędziego Kendricka Clayтона, a prywatnie jego stryja. Jednak sam pomysł ustawienia znaku wyszedł od Keitha, który doskonale wiedział, że taki zakaz w miejscu publicznym doda mu tylko atrakcyjności.

– Nie zauważyłyśmy tego znaku! – wykrzyknęła brunetka, odwracając się przodem do Clayтона. – Nie wiedziałyśmy o nim! Dopiero kilka dni temu usłyszałyśmy o tym miejscu! – Dziewczyna nie przestawała protestować, cały czas szarpiąc się z ręcznikiem. Jej

koleżanki były zbyt przerażone, żeby ją wesprzeć; w międzyczasie rozpaczliwie usiłowały naciągnąć majtki od bikini. – Jesteśmy tu pierwszy raz!

Głos dziewczyny chwilami przypominał rozgrymaszone panice z bractwa studenckiego, do którego zapewne wszystkie trzy należały. Miały ten charakterystyczny sznyt.

– Nie wiedziałyście, że pokazywanie nagości w miejscach publicznych jest w tym kraju wykroczeniem?

Widział, jak młode twarze dziewcząt jeszcze bardziej bledną na myśl o tym, że to drobne wykroczenie położy się cieniem na ich opinii. Podglądanie takich świeżynek to przyjemność, ale Clayton zdawał sobie sprawę, że nie może posunąć się za daleko.

– Jak się nazywasz?

– Amy. – Brunetka przełknęła nerwowo ślinę. – Amy White.

– Skąd jesteś?

– Z Chapel Hill. Ale pochodzę z Charlotte.

– O, widzę tu alkohol. Czy wszystkie macie ukończone dwadzieścia jeden lat?

Po raz pierwszy odezwały się pozostałe dwie dziewczyny:

– Tak jest, mamy.

– W porządku, Amy. A teraz wam powiem, co zamierzam zrobić. Otóż biorę za dobrą monetę wasze słowo, że nie zauważyłyście znaku zakazu i że jesteście wystarczająco dorosłe na to, żeby pić alkohol, i nie zrobię z tego sprawy, a nawet więcej – udam, że w ogóle mnie tu nie było, ale pod warunkiem, że się nie przyznacie przed moim szefem, że was, ot tak sobie, puściłem.

Dziewczyny nie wiedziały, czy mają mu wierzyć, czy nie.

– Naprawdę?

– Naprawdę – odparł Clayton. – Ja też kiedyś byłem studen-

tem. – Nie był, ale wiedział, że to dobrze zabrzmi. – No cóż, pewnie chcielibyście się ubrać. Nigdy nie wiadomo, zawsze ktoś się może znienacka pojawić. – Clayton błysnął uśmiechem. – I pamiętajcie, żeby posprzątać wszystkie puszki, dobrze?

– Tak jest, proszę pana.

– Cieszę się. – Clayton zabierał się do odejścia.

– I to... wszystko? – zapytała Amy.

Odwrócił się i ponownie uśmiechnął.

– Wszystko. A na przyszłość, uważajcie.

W poczuciu, że dobrze załatwił sprawę, Clayton ruszył do swojego wozu terenowego, rozgarniając po drodze krzewy i od czasu do czasu schylając głowę przed gałęziami. Może nawet bardzo dobrze. Amy uśmiechnęła się do niego, a jemu, kiedy już odchodził, przemknęło przez myśl, żeby zawrócić i poprosić ją o numer telefonu. Jednak nie, zdecydował, lepiej zostawić ją w spokoju. Najprawdopodobniej dziewczyny pochwalać się przyjaciółkom, że wprawdzie złapał je szeryf, ale nic im nie zrobił. Rozpuszczą wieść, że tutejsi szeryfowie są cool. W każdym razie przedzierając się przez las, miał nadzieję, że zdjęcia dobrze wyszły i że będą stanowiły miłe uzupełnienie jego niewielkiej kolekcji.

W sumie dzień okazał się fantastyczny. Clayton miał właśnie zamiar wrócić po aparat, kiedy usłyszał gwizdanie. Podążając za dźwiękiem, dotarł do drogi, którą zwożono bale z wycinki, i tam zobaczył idącego wolno mężczyznę z psem. Nieznajomy przypominał hipisa z lat sześćdziesiątych, ale nie towarzyszył dziewczynom; co do tego Clayton nie miał wątpliwości. Robił wrażenie za starego jak na studenta, musiał mieć pod trzydziestkę. Jego długie włosy przypominały Claytonowi wronie gniazdo; z tyłu, pod plecakiem, rysował się śpiwór. Nie był to po prostu ktoś, kto się wybrał na jed-

nodniową wycieczkę na plażę, tylko ktoś, kto od dłuższego czasu wędruje, obozując po drodze w namiocie. Trudno powiedzieć, od jak dawna był w tej okolicy i co widział.

Może robił zdjęcia, tak jak Clayton?

Nie, to wykluczone, wręcz niemożliwe. Mężczyzna był niewidoczny od strony głównej drogi, ale Clayton z pewnością by słyszał, gdyby ktoś szedł przez gęste poszycie lasu. Poza tym miejsce wydawało się dziwne jak na uprawianie turystyki. Znajdowali się na odludziu i Clayton w najmniejszym nawet stopniu nie życzył sobie, aby tu, gdzie pojawiały się studentki, przyłazili jacyś hipisowscy włóczędzy.

Tymczasem nieznajomy zdążył go minąć. Był już blisko samochodu policyjnego i kierował się w stronę jeepa dziewczyn. Clayton wyszedł na drogę i odchrząknął. Mężczyzna i pies odwrócili się.

Clayton oceniał ich dalej z pewnej odległości. Mężczyzna, podobnie jak i jego pies, wydawał się niespieszony nagłym pojawieniem się szeryfa, ale w jego spojrzeniu było coś, co wzbudziło w Claytonie niepokój. Jakby facet się go tu spodziewał. Tak samo jego owczarek. Spojrzenie psa było wyniosłe, a jednocześnie czujne, prawie inteligentne. Często wyglądał tak Pantera chwilę przed tym, nim go Moore spuszczał ze smyczy. Żołądek podjechał Claytonowi do gardła; z trudem powstrzymał się przed zakryciem swojej męskości.

Przez dłuższą chwilę mężczyźni patrzyli na siebie bez słowa. Clayton wiedział nie od dziś, że widok munduru na ogół budzi respekt. Każdy, nawet niewinny człowiek reagował nerwowo na jego widok i Clayton sądził, że nieznajomy nie stanowi w tej sprawie wyjątku. Był to jeden z powodów, dla których tak dobrze czuł się w roli zastępcy szeryfa.

– Masz smycz dla psa? – zapytał tonem bardziej przypominają-

cym komendę niż pytanie.

– W plecaku.

Clayton nie zauważył w głosie mężczyzny żadnego akcentu. „Angielszczyzna Johnny’ego Carsona*”, jakby powiedziała jego matka.

– To proszę wziąć psa na smycz.

– Nie ma obawy, nie ruszy się bez mojej komendy.

– Mimo to proszę wziąć go na smycz.

Mężczyzna zdjął plecak i zaczął w nim grzebać; Clayton wyciągał szyję w nadziei, że zauważy coś, co mógłby uznać za narkotyki czy broń. Chwilę później pies znalazł się na smyczy, a nieznajomy patrzył na niego z takim wyrazem twarzy, jakby chciał powiedzieć: „Ciekawe, co teraz”.

– Co tutaj robisz? – zapytał Clayton.

– Jestem na wycieczce.

– Masz spory bagaż jak na wycieczkę.

Mężczyzna nie odezwał się słowem.

– A może przyszedłeś tu kogoś podglądać, co?

– Po to tu ludzie przychodzą?

Claytonowi nie spodobał się ton mężczyzny ani zawarta w jego słowach insynuacja.

– Poproszę jakiś dowód tożsamości.

Mężczyzna ponownie pochylił się nad plecakiem i wyjął z niego paszport, a następnie wyciągnął w stronę psa otwartą dłoń, dając mu w ten sposób sygnał, że ma się nie ruszać z miejsca, po czym zrobił krok w stronę Clayтона i wręczył mu dokument.

– Nie masz prawa jazdy?

* Amerykański showman i prezenter telewizyjny.

– Nie mam.

Clayton wpatrywał się w nazwisko nieznajomego, nieznacznie poruszając ustami.

– Logan Thibault?

Mężczyzna skinął głową.

– Skąd pochodzisz?

– Z Kolorado.

– To kawał drogi stąd.

Nieznajomy milczał.

– Masz jakiś określony cel podróży?

– Arden.

– A co takiego szczególnego jest w Arden?

– Nie wiem. Jeszcze tam nie byłem.

Clayton zmarszczył brwi. Odpowiedź wydała mu się zbyt cwa-
na. Zbyt... prowokacyjna? W każdym razie zbyt jakaś. Obojętne.
Nagle uświadomił sobie, że ten facet mu się nie podoba.

– Zaczekaj tu – powiedział. – Pozwolisz, że cię sprawdzę?

– Proszę bardzo.

Idąc w stronę samochodu, Clayton obejrzał się przez ramię.
Widział, jak mężczyzna wyjmując z plecaka miseczkę i nalewa do niej
wody z butelki, jakby w ogóle niczym się nie przejął.

To się jeszcze okaże! W samochodzie Clayton nadał przez radio
nazwisko, które przeliterował, po czym usłyszał głos dyspozytorki:

– To się wymawia Ti-bou, a nie Taj-bolt. Thibault to francu-
skie nazwisko.

– A co mnie obchodzi, jak należy je wymawiać.

– Po prostu chciałam powiedzieć...

– Wszystko jedno, Marge. Po prostu sprawdź go, dobrze?

– Wygląda na Francuza?

– A skąd ja mam, do diabła, wiedzieć, jak wygląda Francuz?

– Po prostu jestem ciekawa. Nie bądź taki drażliwy. Mam tu urwanie głowy.

Tak, urwanie głowy, pomyślał Clayton. Obżera się pączkami. Marge wsuwała co najmniej tuzin krispy kremes dziennie. Musiała ważyć przynajmniej ze sto pięćdziesiąt kilo.

Przez okno widział nieznajomego, który kucał koło psa, coś do niego mówiąc i przyglądając się, jak owczarek chłepcze wodę. Pokręcił głową. Rozmowy ze zwierzętami! Świr. Jakby pies rozumiał cokolwiek, poza podstawowymi poleceniami. Była żona Clayтона też robiła takie numery. Ta kobieta traktowała psy jak ludzi i już tylko to powinno być dla niego wystarczającym ostrzeżeniem, że należy trzymać się od niej z daleka.

– Nic tu nie widzę – Clayton usłyszał głos Marge. Zabrzmiało tak, jakby dziewczyna coś jadła. – Żadnych szczególnych haków.

– Jesteś pewna?

– Jestem. Znam się na swojej robocie.

Mężczyzna, jakby się przysłuchiwał tej rozmowie, schował miškę do plecaka, który następnie przewiesił sobie przez ramię.

– Były może jakieś inne niecodzienne telefony? Ktoś się kręcił czy coś w tym rodzaju?

– Nie. Dziś panuje spokój. A przy okazji, gdzie jesteś? Twój tata próbował się z tobą skontaktować.

Ojciec Clayтона był szeryfem na szczeblu hrabstwa.

– Powiedz mu, że niedługo wrócę.

– Kiedy jest wściekły.

– Powiedz mu, że jestem na patrolu, okay?

Żeby wiedział, że pracuję – tego już nie dodał.

– W porządku.

To już lepiej.

– Muszę iść.

Clayton odłożył na miejsce sprzęt radiowy i przez chwilę siedział bez ruchu, odczuwając lekkie rozczarowanie. Fajnie byłoby zobaczyć, jakby się facet zachowywał w czasie aresztowania – z tymi babskimi włosami, i w ogóle. Bracia Landry mieliby z nim używanie. Byli stałymi klientami aresztu dosłownie w każdy sobotni wieczór: pijaństwo, awantury, zakłócanie spokoju i bójki, przeważnie między sobą. Chyba że siedzieli w pudle. Wtedy czepiali się kogo popadnie.

Clayton bawił się przez chwilę klamką drzwi samochodu. Ciekawe, o co tym razem ojciec się wściekał. Stary go wkurzał. Zrób to, zrób tamto. Co, jeszcze nie załatwiłeś tych papierów? Dlaczego się spóźniasz? Gdzie byłeś? Miał ochotę powiedzieć ojcu, żeby się, do cholery, nie wtrącał w nie swoje sprawy. Ciągłe mu się wydawało, że tu rządzi.

Zresztą wszystko jedno. Prędzej czy później uświadomi sobie, jak jest naprawdę. A tymczasem trzeba pozbyć się stąd tego hipisa, zanim pojawią się dziewczyny. Ostatecznie wstęp jest tu wzbroniony, no nie? Szkoda, żeby takie świry zrujnowały to miejsce.

Clayton wysiadł z samochodu i zamknął za sobą drzwi. Kiedy się zbliżał do nieznajomego, pies nastawił uszu. Clayton zwrócił mężczyźnie paszport.

– Przepraszam za utrudnienia, panie Thibault. – Tym razem celowo zadbał o wymowę nazwiska. – Ale to należy do moich obowiązków. No, chyba że ma pan w plecaku narkotyki albo broń.

– Nie mam.

– A miałbyś coś przeciwko temu, żebym to sprawdził?

– Właściwie to nie. Tylko że Czwarta Poprawka i w ogóle...

– O, widzę, że masz śpiwór. Obozowałeś pod gołym niebem?

– Ubiegłą noc spędziłem w hrabstwie Burke.

Clayton przyglądał się facetowi, zastanawiając się nad jego odpowiedzią.

– Tutaj nie ma odpowiednich miejsc na obozowanie.

Mężczyzna milczał.

Clayton pierwszy odwrócił wzrok.

– I proszę pamiętać o trzymaniu psa na smyczy.

– Nie sądziłem, że w tym hrabstwie są w tej sprawie jakies szczególnie przepisy.

– Bo nie ma. Chodzi o bezpieczeństwo twojego psa. Na głównej drodze jest duży ruch.

– Wezmę to pod uwagę.

– W porządku. – Clayton odwrócił się, żeby iść, ale po chwili znów się zatrzymał. – Jeśli wolno spytać: od jak dawna przebywasz na tym terenie?

– Dopiero co przyszedłem. A dlaczego?

W odpowiedzi nieznajomego było coś, co skłoniło Clayтона do zastanowienia. Po chwili wahania uświadomił sobie ponownie, że facet w żadnym razie nie mógł wiedzieć, co on tu robił.

– Tak, bez żadnego powodu.

– Mogę już iść?

– Okay, możesz.

Clayton przez chwilę patrzył, jak mężczyzna z psem rusza przed siebie, a następnie skręca w wąską ścieżkę i znika w lesie. Wtedy wrócił na swój pierwotny punkt obserwacyjny, gdzie zostawił aparat. Zaczął macać ręką wśród krzewów, kopiąc igliwie i parę razy korygując kierunek. W końcu padł na kolana, czując narastającą panikę. Aparat należał do biura szeryfa. Clayton wypożyczał go tylko na swoje specjalne wypadki i gdyby się okazało, że znikł, naraziłby się na wiele niewygodnych pytań ze strony ojca. A jeszcze gorzej byłoby, gdyby ktoś go znalazł z kartą pamięci pełną zdjęć gołych lasek. Ojciec był fanatykiem przestrzegania przepisów i odpowiedzialnych zachowań.

Po upływie kilku minut usłyszał dochodzący z daleka gardłowy

ryk zapalanego silnika i domyślił się, że to odjeżdżają dziewczęta; jak błyskawica przemknęło mu przez głowę: co by pomyślały, gdyby zobaczyły, że jeszcze tu tkwi. Ale nie zastanawiał się nad tym dłużej, miał ważniejsze sprawy na głowie.

Aparat znikł.

Nie został zgubiony. Po prostu znikł. I na pewno nie odszedł na własnych nogach. Nie mogły go też znaleźć dziewczyny. A to znaczyło, że Taj-bolt dalej sobie z nim igra. Taj-bolt robi sobie z niego jaja. To nie do wiary. Od początku był zdania, że facet jest za sprytny, trochę za bardzo w stylu filmu *Koszmar minionego lata*.

Nie ujdzie mu to na sucho, jeszcze czego. Żaden gadający z psem brudny świr nie będzie sobie robił jaj z Keitha Claytona. W każdym razie nie w tym życiu.

Przedzierając się przez zarośla, ruszył w stronę drogi, w nadziei, że złapie jeszcze Logana Taj-bolta i lepiej mu się przyjrzy. Tyle na początek. Potem będzie więcej, co do tego nie miał wątpliwości. Facet chce mu dokuczyć? Nic z tego. Nie w tym mieście. A pies? Że się zdenerwuje? Clayton ma go w nosie. Pa, pa, piesku! I tyle. Owczarek niemiecki to prawie broń – każdy sąd to przyzna.

Dobrze, ale wszystko po kolei. Najpierw musi znaleźć Thibaulta. Potem odzyskać aparat. A następnie zastanowić się nad kolejnym krokiem.

I właśnie w tym momencie, zbliżając się do swojego samochodu, zauważył, że z tyłu, zamiast opon, ma dwa flaki.

*

– To jak powiedziałeś, że się nazywaasz?

Thibault przechylił się przez przednie siedzenie i przekrzykując wycie wiatru, powtórzył:

– Logan Thibault. – Po czym, pokazując kciukiem przez ra-

mię, dodał: – To jest Zeus.

Zeus siedział z tyłu pędzącego w kierunku autostrady jeepa z wywalonym ozorem i z nosem wystawionym na wiatr.

– Ładne psisko. Ja jestem Amy. A to Jennifer i Lori.

Thibault obejrzał się za siebie.

– Cześć.

– Cześć.

Dziewczyny robiły wrażenie przygaszonych. Nic dziwnego, zważywszy na niedawne przeżycia.

– Dzięki za podwiezienie.

– Drobiazg. Mówiłeś, że się wybierasz do Hampton?

– Jeśli to dla was nie za daleko.

– Nie, dokładnie po drodze.

Thibault zszedł z przesieki, zmarudził chwilę w lesie i dokładnie w momencie, kiedy wrócił na skraj drogi, zauważył nadjeżdżającą dziewczyny. Wystawił kciuk do góry, rad, że ma przy sobie Zeusa, i jeep zatrzymał się niemal natychmiast.

Czasem sprawy układają się dokładnie tak, jak powinny.

Wbrew pozorom widział dziewczyny już wcześniej, rano, kiedy przyjechały – obozował za dzielącym go od plaży wzgórzem – ale kiedy tylko zaczęły się rozbierać, postanowił nie zakłócać im niezbędnej prywatności. Zaliczył ich zachowanie do kategorii: „Jeśli nie robisz nikomu krzywdy, to znaczy, że nie ma w tym nic złego”. Poza nim w pobliżu nie było nikogo, a on nie zamierzał tkwić tu tylko po to, żeby się gapić. Co kogo obchodzi, że się dziewczyny rozbiorą albo że włożą bikini? Nie jego sprawa, uznał, aż do chwili, kiedy zobaczył nadjeżdżającego drogą zastępcę szeryfa w służbowym samochodzie Szeryfa Hrabstwa Hampton.

Thibault przyjrzał mu się dobrze przez przednią szybę i stwierdził, że w jego wyrazie twarzy jest coś nefajnego. Trudno po-

wiedzieć, co to było, w każdym razie Thibault nie próbował tego analizować. Zawrócił i ruszył na skróty przez las. Kiedy dotarł na miejsce, widział, jak zastępca szeryfa przegląda zdjęcia w aparacie, po czym cicho zamyka drzwi samochodu i oddala się w kierunku wzgórza. Teoretycznie stróż prawa mógł być tutaj służbowo, ale ten miał taką minę jak Zeus, kiedy czekał na kawałek wołowiny. Wydawał się nadmiernie podniecony całą tą sytuacją.

Thibault nakazał Zeusowi zostać na miejscu, sam zaś zachował taką odległość, żeby zastępca szeryfa go nie usłyszał – reszta potoczyła się spontanicznie. Wiedział, że bezpośrednia konfrontacja była wykluczona – zastępca szeryfa powiedziałaby, że zbierał dowody, a tam gdzie jest słowo przeciwko słowu, ktoś obcy nie ma najmniejszych szans z przedstawicielem prawa. Jakiegokolwiek fizyczne starcie tym bardziej nie wchodziło w grę – z pewnością przyniosłoby więcej problemów niż korzyści, chociaż Thibault chętnie stanąłby oko w oko z facetem. Szczęśliwie – czy może nieszczęśliwie, to zależy od punktu widzenia – pojawiła się dziewczyna, zastępca szeryfa spanikował, a Thibault zobaczył, w którym miejscu wylądował aparat. Kiedy więc tych dwoje oddaliło się w kierunku pozostałych dziewcząt, podniósł go z ziemi. W tym momencie mógł po prostu z nim zniknąć, ale uznał, że facetowi należy się nauczka. Może nie jakaś poważna, ale wystarczająca, aby ocalić honor dziewczyn, sobie zapewnić realizację dalszych planów, a zastępcy szeryfa zepsuć przyjemność. Po to właśnie zawrócił, żeby przebić opony w wozie policyjnym.

– Och, zapomniałbym – odezwał się Thibault – znalazłem w lesie wasz aparat.

– Na pewno nie mój. Lori, Jen, czy któraś z was zgubiła aparat? Obie dziewczyny kręciły przecząco głowami.

– W każdym razie zatrzymajcie go – powiedział, kładąc aparat

na siedzeniu. – I bardzo wam dziękuję za podwiezienie. Ja swój mam.

– Jesteś pewien? To musi być drogi sprzęt.

– Jestem pewien.

– Dzięki.

Thibault zauważył cienie igrające na twarzy dziewczyny. Pomyślał, że jest atrakcyjna na wielkomiejski sposób: miała dość wyraźne rysy, oliwkową cerę i piwne oczy nakrapiane orzechowymi plamkami. Pomyślał, że mógłby się na nią gapić godzinami.

– Hej, masz jakieś plany na weekend? – zapytała Amy. – Wybieramy się razem na plażę.

– Dzięki za zaproszenie, ale nie będę mógł z niego skorzystać.

– Założę się, że masz randkę ze swoją dziewczyną.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Na to mi wyglądasz.

Thibault zmusił się, aby odwrócić wzrok.

– Coś w tym rodzaju.